

Jak długo można płakać?

Rozmowa z Krystyną Jandą, reżyserem filmu „Pestka”

Jeden ze starszych pani kolegów powiedział niedawno, że z aktorstwa się wyrasta. Czy to, że pani podejmuje się ostatnio różnych zajęć, też świadczy o znużeniu graniami?

Nie wyrasta się z aktorstwa. Ja myślę, że się raczej dorasta. Zmienia się tylko to, że samo granie przestaje wystarczać, chce się czegoś więcej. Nagromadziło się tyle przeżyć i doświadczeń, trzeba coś z tym zrobić.

Jednak nie wszyscy aktorzy z doświadczeniami chcą stawać po drugiej stronie kamery.

Stałam przy kamerze od pierwszego filmu, w jakim wystąpiłam, bo zawsze interesowało mnie, dlaczego coś robi się tak, a nie inaczej. Wydawało mi się, że jak odejdę, to zrobią beze mnie coś bardzo ważnego, co ja przeoczę. Zresztą w teatrze podczas prób też od początku do końca siedzę na widowni. Jest we mnie taka ciekawość tworzenia, budowania roli, powstawania spektaklu... W tym sensie od dawna dorastałam do reżyserii, co nie znaczy, że aktorstwo po 20 latach mnie nudzi.

Pani wciąż podkreśla, że wywodzi się ze szkoły Andrzeja Wajdy. Czy to dzisiaj jeszcze coś znaczy?

Tak. To oznacza przede wszystkim poważny stosunek do tego, co się robi. I to są emocje. Zawierania w przestrzeni i w czasie – tak pamiętam kolejne filmy, w których grałam u Wajdy. Za każdym razem trzy miesiące w życiu, które były jak gorączka. Aktor miał poczucie, że robi się coś ważnego i dla kogoś.

Co się stało z polskim aktorstwem w ostatnich latach?

Ja myślę, że, po pierwsze, poziom aktorstwa obniżył się. Pozmieniały się kryteria, nie wiem, czy w ogóle są jakieś wyraziste oceny naszej pracy. Nikt dokładnie nie wie, co jest dobre, co jest złe. Dla czytelników wysokonakładowych pism popularnych potrzebne są „gwiazdy”, żeby o nich pisać, sprzedawać pismo, zarabiać pieniądze. Używa się wielkich słów w stosunku do byle kogo. Wszystko się pomieszało.

W teatrach ten zamęt w sferze wartości widać chyba jeszcze wyraźniej.

W teatrach przy obecnej dotacji myśli się głównie o tym, żeby ściągnąć publiczność, stąd moda na repertuar „dla każdego coś miłego”, żeby tylko ludzie przyszli. Wysokość procentu, w jakim teatr utrzymuje się „z kasy”, stał się miarą wartości. To jest dla sztuki zabójcze, teatr nie powinien zajmować się myśleniem, żeby za wszelką cenę publiczność przyciągnąć. Mówię: za wszelką cenę, bo ni-

gdy nie chciałabym grać w przedstawieniach, którymi zachwyca się krytyka, a na sali podczas spektaklu widać puste rzędy krzeseł.

Jak się okazało w tych nowych czasach, bez teatru można żyć.

Staram się to zrozumieć. Publiczność jest tak zajęta układaniem sobie na nowo życia, że nie ma ochoty przychodzić do teatru na przedstawienia bardzo poważne, co powoduje straszliwe frustracje aktorów... Wiem, bo w moim Teatrze Powszechnym grane były ważne, wspaniałe przedstawienia, na które publiczność nie chciała przychodzić, i ja wdziałam, jak to występujący w nich koledzy przeżywali. To jest błędne koło.

Film „Pestka” stanowi w pewnym sensie zwieńczenie pani dotychczasowej kariery. Ma pani poczucie spełnienia po tych 20 latach? Zagrałam dobrze parę ról, w „Przesłuchaniu”, w „Człowieku z marmuru”, w „Zwolnionych z życia” Krzystka, teraz w „Pestce”. Były też role nieudane, nie zawsze tylko z mojej winy.

Aktorzy przy okazji takich podsumowań chętnie mówią o tym, że za karierę zapłacili ogromną cenę, że tyłu to od nich wyrzeczeń wymagało.

Chyba pan nie odniósł wrażenia, że ja opowiadając o pracy w filmie i teatrze polskim staram się pana wzruszyć.

Nie. Wynika z tego, że pani się udało. Tytuł jest dzisiaj pokrzywdzonych przez życie i ustrój kombatantów...

Wczoraj obejrzałam w telewizji film Cękalskiego „Dwie brygady”, dzieło z czasów rozwiniętego socrealizmu. Grali m.in. Tadeusz Łomnicki i Andrzej Łapicki, i nieźle grali. Przypuszczam, że gdybym z nimi grała, też bym się starała robić to dobrze. Mogę dziękować losowi, że mnie te lata ominęły.

Aktor może grać dobrze w złej sprawie?

Tak. Obejrzałam ten film z Łomnickim i nie mogłam zasnąć.

W pani czasach aktorzy nie dostawali już takich dwuznacznych ofert artystycznych?

Mnie było łatwiej. Zagrałam u Wajdy i to wówczas coś znaczyło także politycznie, w każdym razie miałam zakaz występów w zespole filmowym prowadzonym przez Petelskiego, u Poręby też nie wolno byłoby mnie angażować. Nie mówię, że tego żałuję.

To wtedy właśnie powstawały w środowisku aktorskim podziały, ugruntowane jeszcze potem w stanie wojennym. Czy istnieją do dziś?



Krystyna Janda: – Aktorzy nie rozmawiają o polityce

ANDRZEJ RYBACZYŃSKI PAP/CAF

Chyba już nie. Jak ktoś jest dobry, to jest dobry. Chociaż niektórzy nie grają, jak świetny aktor Janusz Kłosiński, którego namówiono, żeby w pierwszych dniach stanu wojennego poparł w dzienniku telewizyjnym generała Jaruzelskiego.

Zagrałaby pani z Kłosińskim czy kimś innym ze znanej przecież w środowisku listy byłych „kolaborantów”?

W dobrym filmie zagrałabym.

Aktorka czterdziestoletnia znajduje się w trudnym momencie kariery: z jednej strony najlepsza dyspozycyjność zawodowa, z drugiej – brak repertuaru.

Nie boję się, że nie będę miała w czym występować. Na przyszłość też mam sporo pomysłów. I jako aktorka, i jako reżyser.

Przed debiutem w filmie fabularnym reżyserowała pani w teatrze i w telewizji. Pani sama sobie stawia coraz trudniejsze zadania?

Ależ mój problem od lat polega na tym, że żaden reżyser mi ich nie stawia. Od lat nikt mnie nie poprosił o coś, co by mnie zmusiło do zwiększonego wysiłku, na ogół zadowoleni są z tego, co im zaproponuję, nawet jeżeli biorę coś „z kapelusza”.

To pani jest taka genialna czy oni są tak mało wymagający?

Zacznijmy od tego, że od dawna nie dostałam naprawdę interesującej propozycji. Jeżeli chodzi o film, to w ogóle nie miałam oferty, która by mnie w jakikolwiek sposób zajęła.

Czy te role, które panią wyniosły, jak Agnieszka z „Człowieka z marmuru”, coś jeszcze dla młodych reżyserów znaczą?

Przez ostatnie lata kino polskie bardzo odmłodziło, starsi reżyserzy przestali robić filmy. A tym młodym nie jestem do niczego potrzebna. Nie chcą przeze mnie opowiadać swoich historii, w ogóle nie obchodzi ich kobieta czterdziestoletnia. Wielokrotnie próbowano jedynie w łatwy sposób wykorzystywać mój dotychczasowy dorobek, i to nie to, co umiem, lecz to, co znaczą. Na przykład oczekiwano ode mnie, żebym zagrała matkę jakie-

goś młodocianego bohatera, żeby od razu wiadomo było, jaki on ma rodowód.

Jaki to rodowód?

Patriotyczno-niepodległościowy, czy jak się to podniosło mówi. Tak mnie kojarzą w związku z filmami, w których zagrałam. Miałam poczucie, że jestem im kompletnie niepotrzebna, dlatego zaczęłam myśleć o „Pestce”. Ale nie jako reżyser, początkowo tylko jako aktorka. Dlaczego nie spróbować opowiedzieć czegoś o pokoleniu czterdziesto- i pięćdziesięciolatków? Czy to naprawdę nikogo nie interesuje?

Ciekawe, że Jerzy Stuhr, który również zadebiutował niedawno jako reżyser, podjął w swym „Spisie cudzołóżnic” podobny pokoleniowy temat.

Ja nie chciałam robić filmu pokoleniowego. To jest film o miłości.

Film miał premierę podczas Warszawskiego Festiwalu, ale trafił do kin dopiero na początku przyszłego roku, więc nie możemy rozmawiać długo o czymś, czego czytelnicy jeszcze nie widzieli. Ale o jednym swoim odczuciu opowiem. Jak patrzyłem na panią i na Daniela Olbrychskiego, to mi się wydawało, że jesteście wewnętrznie wypaleni. Ten Borys opowiada o miłości, ale on chyba już nie potrafi kochać. A cały jego katolicyzm i odpowiedzialność za żonę i dzieci to jest tylko alibi...

Ja w ogóle o tym nie myślałam. Chciałam zrobić film o miłości – wielkiej, tylko niemożliwej.

Jest w filmie znacznie bardziej wyeksponowany niż w książce Anki Kowalskiej wątek polskiego katolicyzmu. Bardzo aktualny temat.

Nie chciałam się włączać do dysput na ten temat obecnie prowadzonych, choć uważałam, że o tym opowiada książka, tyle że wtedy nie wolno było o tym pisać. Mnie ta dyskusja nie obchodzi. Interesuje mnie problem bohatera „Pestki”. Co taki facet ma zrobić, jak się zakocha, a ma żonę i dzieci. Co zrobić? Postawiłam znak równości między miłością i odpowiedzialnością, chociaż pana zdaniem

jest to film o czymś innym. Pewnie to moja wina. Ale poczekajmy na opinię widzów.

Obecny na premierze jeden z młodych gniewnych reżyserów powiedział – popatrzcie, Janda zrobiła idealny film dla telewizji. To nie brzmiało jak komplement.

Domyślałam się, że nie, ponieważ jest to film kinowy. Ale wolno mu tak myśleć.

Chodziło nie o format, tylko o styl.

Cóż ja mogę odpowiedzieć? Moje intencje są jasne – chciałam zrobić film dla publiczności, którą znam chyba lepiej niż wszyscy reżyserzy, bo ja się z nią spotykam od lat, szczególnie grając monodramy. Po dwie godziny co wieczór. Wiem, z czego ludzie się śmieją, z czego płaczą. Chciałam zrobić zwyczajny film dla ludzi, których znam. Ale na marginesie, czy to nie jest zdumiewające, że trzy najbardziej kasowe polskie filmy w zeszłym sezonie nie są filmami reżyserów? Dwa zrobili operatorzy, jeden – aktor.

Jaka jest ta publiczność?

Wie pan, jaka jest naprawdę polska publiczność? Cudowna. Tak łatwo daje się co wieczór zabrać w jakąś podróż w zapomnienie. Tam śmieje się i potrafi być za to wdzięczna. A w kinie chce oglądać filmy o najprostszych uczuciach. Chce, żeby było jasno, czysto, prawdziwie. To jest piękna słabość, uwielbiam ich za to.

Może zdziwienie wzięło się stąd, że oczekiwano, iż zadebiutuje pani filmem podobnym jakoś do tych, w których pani grywała. Na przykład o tym, co robi dzisiaj pani Agnieszka z „Człowieka z marmuru”. Jak pani sądzi, utrzymała się w telewizji przy obecnym kierownictwie?

Był już gotowy scenariusz trzeciej części „Człowieka”; kiedy go przeczytałam, wydawało mi się, że trzeba szybko zabierać się do pracy.

Co się działo z Birkutem, co z Agnieszką?

Birkut był posłem w parlamencie III RP i miał w telewizji program „Sto pytań”, który ja realizowałam. Podczas programu ktoś podsuwa mu karteczkę, że ja wniosłam sprawę o rozwód, a jednocześnie dziennikarze wstają i mówią, że mają na niego papiery, że jest agentem. Birkut dostaje przed kamerami zawału, nie odpowiada, wywozi go karetka, a ja, tak jak przed laty w „Człowieku z marmuru”, ruszam, żeby go oczyścić z zarzutów.

I jak się to miało skończyć?

Odbywa się proces sądowy, gdzie on przychodzi prosto ze szpitala i mówi: Wysoki Sądzie, wszyscy byliśmy agentami, wszyscy mieliśmy pseudonimy, Jurek, Ogórek, Kiełbasa i Sznurek. I koniec. Uważałam, że to był fantastyczny scenariusz, ale Wajda stwierdził w pewnym momencie, że nie robimy filmu, że nie warto...

Miał rację, że nie warto?

Dzisiaj uważam, że miał rację. Cała tamta afera z „teczkami” nie zasługiwała na to, żeby poświęcać jej film fabularny. Po co to robić? Kino, na szczęście, zmieniło swoją funkcję. „Moralny niepokój” zastępował książki, zastępował prasę, telewizję.

Pani bez żalu rozstaje się z takim kinem polskim, które miało obowiązki i misję do spełnienia?

Bez żalu. Czy warto wydawać 15 miliardów, a tyle kosztuje film, na tak zwany gorą-

► cy temat, który można w jednym programie telewizyjnym załatwić?

Jakie są obecnie poglądy polityczne aktorów?

Nie wiem. Aktorzy nie rozmawiają o polityce.

To o czym rozmawiają w przerwach, jak się nudzą?

O wszystkim. Zresztą ja nie przesiaduję w bufetach, więc dokładnie nie wiem.

Jak to wytłumaczyć, że tak szybko minęła fascynacja polityką?

Bardzo łatwo. My istniejemy tylko wtedy, kiedy interesują się nami ludzie. Interesowaliśmy się polityką, bo publiczność interesowała się polityką. Dzisiaj się nie interesujemy, bo ich to coraz mniej obchodzi. To jest naturalne w tym zawodzie, że aktor musi się podobać, bo tylko wówczas istnieje.

Podpisuje pani ostatnio jakieś listy w służbnych sprawach?

Ostatnio nic do mnie nie dotarło. W sprawie aborcji, jak urodziłam trzecie dziecko, to był do mnie telefon z Episkopatu, żebym się opowiedziała przeciwko. Odpowiedziałam, że nie mogę, bo wiem, że wieczorami pijani mężowie gwałcą swe żony, zanim one zdążą sięgnąć po termometr i zastosować metodę termiczną, której bodaj Kościół nie potępia... Ostatnio nikt mnie o nic nie prosił.

Słyszałem, że pokaże się pani w programie wyborczym Jacka Kuronia?

Tak. Znamy się od lat. Mam do niego zaufanie.

Skoro próbujemy podsumowywać pani aktorskie dwudziestolecie – jak pani ocenia swoje zagraniczne występy?

Z dystansem. W gruncie rzeczy zawsze byłam tam używana jak cytat z polskiego filmu. Z Polski. Nikt nawet nie próbował mnie reżyserować, ponieważ uważali, że cytatu reżyserować nie trzeba. Mam sobie robić, co chcę.

Czy po nagrodzie aktorskiej w Cannes – za „Przesłuchanie” – posypały się oferty z zagranicy?

No tak, było coś takiego, ale akurat byłam w ciąży i przez kolejne trzy lata zajmowałam się domem. Zresztą nie ma czego żałować. Nigdy nie chciałam za granicą zostawać, nie miałam też wyobrażeń, że zrobię tam wielką karierę. Wiem, że jest to praktycznie niemożliwe. Bo inny język, inna wrażliwość, inne tradycje. Owszem, umiem coś zagrać i mogłabym się chwalić, w jakich filmach grałam i z jakimi aktorami. Ale zawsze miałam do tego dystans. Kiedyś, gdy wystąpiłam w filmie francuskim z Lino Venturą i Michelelem Piccoli, tamtejsza prasa napisała, że poszerzyłam granice gatunku, bo zagrałam psychologiczną rolę w filmie akcji... Co to znaczy? Że prawdziwie płakałam w dwóch scenach, jak mnie porywali?

Pamiętam pani debiut teatralny w Ate-neum w „Mewie” Czechowa. Płakała pani naprawdę.

Byłam bardzo młoda. Teraz krzyczę na planie do charakteryzatorki „Iwona, przynieś łzy!” Ile można płakać? Jak kręci się jedną scenę osiem godzin, to osiem godzin mam płakać? Ale w teatrze, w „Kobiecie zawiedzionej”, płaczę wciąż naprawdę.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ZDZISŁAW PIETRASIK